

Epistemologia raciczki

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

PAWEŁ GŁOWACKI

Gdyby książkę Hamlet był mną, po obejrzeniu wyreżyserowanego przez

Tomáša Svobodę „Kupca weneckiego” Williama Szekspira rzekłby: Nie ma w niebie i na ziemi, Horatio, rzeczy dla snów waszych filozofów bardziej jednoznacznej niż świnia!... Bogiem a prawdą – dość trywialna to konstatacja. Dziecinna.

Wieprz, knur, prosię, tucznik, warchlak, obojętne... O czym tu gadać jeszcze można? Niby co z metafizykami omawiać przy różowym ryju? Jakie niejasności dojrzeć w świnii zdoła sokół? U Svobody dorodna, niebieskawym ortalionem otulona i na haku Janosika z tyłu sceny dyndająca półtusza wieprzowa ukazuje się czasem, zaś bliżej finału – dynda bez wytchnienia. Dynda, więc nie sposób nie pytać.

Gdzie szukać światłocienia sensów mięsa okutanego gierskowskim okryciem przeciwdeszczowym? W golonce wskazującej niebo? Co jeszcze? Z boku toczącej się na scenie Teatru Ludowego akcji klecić epistemologię raciczki? Metafory losu ludzkiego szukać w spiralnym ogonku?... Kto pyta – nie błądzi. Poza tym, jeśli artysta w opowieść Szekspira wieprzową półtuszę w niebieskim płaszczu wciska – chyba nie myśli, że nikt nie zauważy. Pytam, choć to retoryka, bo wszystko jasne. Żadnych szekspirowskich nieuchwytności. Świnia to świnia. Kropka. I powiem od razu: mięsny gadżet w ortalionie jest dla „Kupca weneckiego” Svobody przysłowiową soczewką, co skupia całość.

Oczywiście, nie idzie mi o świńskość jako taką. Broń Boże, bym kogoś obrazić chciał. Nie idzie o świńskość, idzie o rzeczoną jednoznaczność. Szekspir Svobody nie ma żadnych tajemnic. Cienia niedomówień, śladu zagadek ni ziarna wahania. Wszystko jasne – nie musisz, widz, myśleć. Szekspir dla dzieci... Trochę to jednak dziwne. W końcu bracia Czesi – a prócz reżysera z ojczyzny Haška i scenograf, i twórczyni kostiumów, i kompozytor pochodzą – właśnie sekretną lekkość Haška, wiecznie tajemną ironię Hrabala, nieuchwytnie narracje Skvoreckiego i szare szyfry Demla winni mieć we krwi. Trudno – nie mają. Na scenie więc jest, jak jest. Od początku do końca – wszystko jasne. „Kupiec wenecki” jako bajka.

Z jednej strony – katolicy. Z drugiej – Żydzi. Katolicy, rzekłbym, na krawędzi moralnego zwyrodnienia. Androgyniczno-gejowsko-transwestytyczne plemię w rozchełstanych szatach. Pachnie cielesnymi wielokątami. Chłopy z chłopami, baby z babami, chłopcy z babami, baby z chłopami, młodzi ze starymi, starzy z młodymi, ergo – wszyscy ze wszystkimi. Całą tej pochopności na żywo przygrywa smyczkowy kwartet, żeński i barokowy. Generalnie, tak w kostiumach, jak i w aktor-

skich poczynaniach – dalekie echo „Satyriconu” Felliniego. A Żydzi? Kolejna rzecz jasna. Żydzi – w klatce.

W maleńkiej, pełnej ksiąg klatce o ścianach z pleksi siedzą sobie i kombinują. Żeby wątpliwości, których i tak nie ma, fundamentalnie nie było, androginiczni katolicy białą farbą na klatce napaćkają gwiazdę Dawida i złowróżbne słowo „Jude”. Delikatnie rzecz ujmując – grupy te duchowe od wieków mają do siebie kilka uwag. A co z tak zwaną akcją? Jak ze wszystkim, czyli: szedł Czerwony Kapturek przez las... Jakoś tak Szekspir u Svobody brzmi.

Oto katolik Antonio (Jacek Strama) od Żyda Shylocka (Kajetan Wolniewicz) pożyczka trzy tysiące talarów. Umowa prosta jest. Gdy nie odda w terminie – Żyd będzie mógł wyciąć z jego ciała funt mięsa. Cieszy się Shylock. Jako się rzekło, nie od wczoraj mają do siebie z Antoniem kilka małych uwag. Nie wdając się w fabularne detale – córka Żyda z katolickim gejem ucieka, bogata katoliczka męża szuka, fortuna Antonia w morzu tonie itd., itp. – wyznać trzeba, że termin mija, zwrotu kasy nie ma, Shylock ostrzy więc nóż...

Duchowo rozradowany Shylock ostrzy nóż, roznegliżowany Antonio na cięcie dzielnie czeka, a za nim – świńska półtusza w niebieskim ortalionie. Memento? Chyba. Memento dla Shylocka: jeśli, Żydku, nie odpuszczisz – do końca życia wieprzowinę żreć będziesz na śniadanie, obiad i kolację! Dalej – wszystko jasne, ale jednak powiem. Katolicy zwyciężają! Nie będzie szlachtowania Antonia. Dla Żyda – kara chrztu i widmo permanencyjnej golonki od jutra... Jakoś niezręcznie słowo to akurat w takich okolicznościach wypowiadać, ale niech tam... Amen.

Szkoda. W końcu w aktorach, co pozostali na poziomie wstępnej scenicznej surowizny, wyraźnie widać, że gdyby Svoboda trochę uważniej „Kupca weneckiego” przeczytał, gdyby pojął, że to jednak nie „Czerwony Kapturek” jest – mogłoby być smakowicie. Smakowicie, bo z sekretami i bez kawy wylanej na ławę. A tak – co?

Przez trzy godziny bajka nawet dość żwawo się toczy, przyjemna jest w obrazku, momentami pięknie oświetlona, a wiolonczelistka... la, la, la... – szkoda słów. Dobrze się na to patrzy i słucha się tego bez bólu trąbki Eustachiusza. Owszem. Nie wiadomo tylko – po co? Jan Kott mawiał: Szekspir nie jest ani komiczny, ani tragiczny – jest gorzki. U Svobody nie ma nawet najlichszego śladu szekspirowskiej goryczy. Wenecja utraciła nieusuwalną tajemniczość miękkich ulic, które świat cały w wodnistych odbiciach powtarzają wiecznie. Wilk jest zły, Kapturek dobry, a problem załatwi Gajowy. Wszystko jasne. Pejsy przyjdzie odciąć, kutwo! Świńskie ucho w galarecie na śniadanie wsuniesz bez szemrania. I dobrze ci tak!

Teatr Ludowy. William Szekspir „Kupiec wenecki”. Reżyseria Tomáš Svoboda. Scenografia Jaroslav Bönisch. Kostiumy Ivana Brádková. Muzyka Karel Albrecht.